



8 lipca

Pierwszy dzień zajęć!

Spotkaliśmy się na Kozanowskim Grzybie. Na początku uczyliśmy się rozkładać standardowe i trochę mniej standardowe zadania z ponch. Dowiedzieliśmy się, jak je maskować, ale po pewnym czasie bardzo błyskotliwie zauważyliśmy, że ile trawy by nawrzucać, to i tak wszystko będzie widoczne, jeśli użyje się czerwonej linki osobistej.

Po tych zajęciach zjedliśmy makaron z parówkami (regionalna Kozanowska potrawa) i rozpoczął się kolejny blok. Poznaliśmy na nim podstawowe znaki topograficzne i dowiedzieliśmy się, jak tworzyć szkice terenu. Przez następną godzinę chodziliśmy po poligonie z busolami i kartkami i notowaliśmy wszystkie odległości i charakterystyczne miejsca. Po szkicach przyszła pora na złożenie z nich spójnej całości i zrobienie mapy! Męczyliśmy się nad nią przez około 2 godziny, a efekt wyglądał jak sumie wąsy poprzyklejane w przypadkowych miejscach na kartce. Następnie ułożyliśmy i rozpaliliśmy ognisko obrzędowe.

Rozpoczęło ono ten zarąbisty obóz.

9 lipca

Spotkaliśmy się o 10.00 na Grzybie na Kozanowskim poligonie. Ubraliśmy się w mundury służbowe i po chwili pojawił się Grucha, który prowadził zajęcia. Opowiadał nam najpierw o historii harcerstwa i symbolice Krzyża Harcerskiego, Lilijki Harcerskiej oraz plaketek WOSM i WAGGGS, a potem o najczęściej używanych w harcerstwie szyfrach – GA-DE-RY-PO-LU-KI, szyfrze ułamkowym i czekoladce. Później uczyliśmy się struktury harcerskiej i kolorów sznurów osób na różnych stanowiskach podczas grania w „wojnę” kartami przygotowanymi przez Gruchę. Powtórzyliśmy też znaki patrolowe i wyznaczanie azymutów w terenie – każdy planował jedną trasę, którą potem przechodziliśmy. Trasa Agnieszki prowadziła prosto w drzewo, co Agnieszka prawdopodobnie uznała za niesamowicie zabawne. Nikt się jednak nie dał jej nabrać i po prostu ostatnie dwa kroki pominęliśmy.

Potem zaczął kropić deszcz, więc zanieśliśmy rzeczy pod Grzyba i poszliśmy do lasu zbierać jeszcze suche drewno na ognisko, żeby zrobić obiad. Zjedliśmy ryż z sosem i udka kurczaka – pełnowartościowy posiłek, który dodał nam sił do następnych zajęć. W tym czasie też pod Grzybem dołączyli do nas chłopcy, którzy na Grzybie planowali postrzelać z ASG. Ich też spotkał deszcz, więc zamiast strzelania wzięli udział w zajęciach. Było to uzyskiwanie wody pitnej przez filtrowanie. Wykorzystaliśmy do tego wodę deszczową, która zdążyła napadać podczas jedzenia obiadu. Zbudowaliśmy najpierw filtry przenośne, wykonane z rozciętej butelki po wodzie, gazy, węgla drzewnego i suchego piasku. Efekty nie były oszałamiające, ale woda i tak była czystsza niż na początku. Postanowiliśmy zagotować tę wodę, a w międzyczasie zbudować filtr stacjonarny. Do niego potrzebowaliśmy dużo więcej węgla, więc nasi nowi koledzy „obrali” kilka patyków, które nie spaliły się w ognisku. Wyglądali jakby pracowali w barze z kebabem, ale to zadziałało i mieliśmy wystarczająco węgla, by przefiltrować wodę!

Ostatnim blokiem zajęć był bieg harcerski. Musieliśmy odnaleźć dziewięć ukrytych w lesie punktów, przy których były zadania wykorzystujące nasze umiejętności zdobyte rano – wyznaczanie azymutów w terenie, znaki patrolowe, szyfry, a także wiedzę dotyczącą historii harcerstwa, symboliki różnych znaków i struktury ZHP. Okazało się, że tej ostatniej nie poznaliśmy w wystarczającym stopniu, więc ponownie zagraliśmy w grę Gruchy, a potem pożegnaliśmy się i poszliśmy do domu (każdy do swojego).

10 lipca

Całą noc padało, więc kiedy okazało się, że musimy rozpalić ognisko, zrzędy nam trochę miny. W całym lesie nie było ani kawałka suchego drewna! Korzystając z naszej bogatej wiedzy dotyczącej rozpalania ognisk w trudnych warunkach atmosferycznych, znaleźliśmy brzozę, której kora jest świetną rozpałką. Trochę nam się opierała, ale w ostatecznym rozrachunku zwyciężyliśmy i ognisko zapłonęło radosnym blaskiem!

Chwilę po tym wyczynie na Grzybie pojawili się Grucha i Świder. Gdy wyciągnęli najróżniejsze składniki kulinarne, dowiedzieliśmy się, że będziemy gotować pyszne potrawy z łatwo dostępnych składników. Świder wytłumaczył nam, jak zrobić podpłomyki z mąki, wody i odrobiny miodu (wszyscy woleliśmy, jak było go więcej, bo same podpłomyki są prawie bez smaku), a jedną porcję zrobiliśmy na boczku, ale bez miodu. Na boczku też usmażyliśmy jajecznicę, która wszystkim bardzo smakowała. Na koniec Edyta i Agnieszka przeprowadziły własny kulinarny eksperyment, czyli upiekły ciasto z mąki, jajek, miodu, śliwek i bananów. Ciasto było pyszne, ale nie zjedliśmy go do końca, bo wszyscy byli całkowicie najedzeni.

Kiedy posprzątaaliśmy i zgasiliśmy ognisko, zaczęliśmy kolejny blok zajęć. Tym razem korzystaliśmy z ASG i uczyliśmy się pracy w dwuosobowych zespołach „kumpli”, jak to robią Marines. Na początku ćwiczyliśmy nową teorię „na sucho”, strzelając do fragmentów taśmy zawieszonych na drzewach przez krzyżenie „Taśma!”, gdy ją zauważyliśmy. Potem przyszła kolej na praktykę, czyli strzelanie dynamiczne do tarcz. Grucha (potem też Świder) ustawiał nam trasy, a my czekaliśmy za karimatą odwrócenia w drugą stronę, żeby nie patrzeć. Grucha nazwał to „kącikiem muzycznym”, ale nam stanie za karimatą kojarzyło się raczej z zagrodami koni czekających na kolejny wyścig. Gdy Grucha ustawił nam tarcze, rozpoczęliśmy strzelanie. Po każdej serii zmieniliśmy się tak, żeby każdy strzelał w parze z każdym. Szło nam raczej dobrze, nawet na bardzo trudnych trasach wymyślanych przez Gruchę.

Ostatnim naszym zajęciem tego dnia była nauka czyszczenia ASG. Rozkładaliśmy tylko ASG Świdra, bo Gruchy było zbyt nowe (tego dnia obchodził dwudniową rocznicę jego posiadania), a kałasznikowa Agnieszki Świder nie chciał zepsuć. Czyszczenie ASG nie jest zajęciem wymagającym pełnej uwagi, więc w tym samym czasie Świder opowiadał nam historię broni, a później historię II Wojny Światowej. Jego opowiadanie było często przerywane przez innych i pełne najróżniejszych dygresji. Nie omówiliśmy nawet wszystkich najważniejszych wydarzeń IIWS, gdy okazało się, że już pora iść do domu! Pożegnaliśmy się i każdy ruszył w swoją stronę.

13 lipca

Poranne zajęcia były z rozpalania ognisk. Przekonaliśmy się, że na podziemnym ognisku ryż musi gotować się latami oraz że trudno ułożyć idealne ognisko obrzędowe.

Po obiedzie, który gotował się niemiłosiernie długo, przyszedł czas na strzelanie dynamiczne. Używaliśmy ASG, a jako tarcze posłużyły nam saperki i menażki, żeby szybko słyszeć jak się trafi. Gruchowi szło najlepiej. Istnieje teoria spiskowa, że wszyscy poza nim mają karłowate nóżki. To on przygotował nam następne zajęcia.

Lecieliśmy samolotem, który rozbił się na bezludnej wyspie. Musieliśmy ukryć niezwykle ważne przesyłki, które dostaliśmy od prowadzącego, tak, żeby nikt (nawet zwierzęta) ich nie znalazł. Następnie musieliśmy zapolować na coś, więc naszym następnym zadaniem było zrobić siekierki. Dostaliśmy instrukcję i wyszła naprawdę super. Moja przetrwała najsilniejsze uderzenie! Po tej ciężkiej pracy byliśmy spragnieni, więc zrobiliśmy herbatę z zebranych darów lasu i tym zakończyliśmy ten dzień zajęć.

14 lipca

Na zajęcia zebraliśmy się na poligonie Kozanów i pierwszym zadaniem, jakie dostaliśmy, było zamaskowanie siebie i sprzętu. Po paru chwilach Grucha wytłumaczył nam, co się będzie działo – bytowanie. W dużym skrócie, jest to wyalienowanie się od całego świata i robienie przy okazji zadań.

Do pierwszego punktu prowadził nas Grucha. Wszystko było git, nikt nas nie zauważył, a w małej paczuszce, którą znaleźliśmy koło strzelnicy, czekało na nas batonikowe zbawienie.

Do następnego punktu prowadziłam ja. Tu też wszystko poszło sprawnie i zostało uwiecznione kartonikiem soku. Kolejny punkt był wyzwaniem. Po obu stronach były działki, a pomiędzy nimi duża droga. Punkt znaleźliśmy szybko, problemem stało się wydostanie z tego miejsca. Z jednej strony, pan dziwnie wymachujący rękoma (z niewidzialnym psem), z drugiej byli odpoczywający działkowicze. Kiedy już się stamtąd wydostaliśmy, okazało się, że Świder zgubił tam rękawiczkę.

Droga do ostatniego punktu była długa, ale mało kłopotliwa. Oranżadę za 0,50 zł znaleźliśmy koło drzew w formie „.rar” i to był nasz eliksir niewidzialności, po którym mogliśmy się przestać ukrywać.

Przez resztę zajęć odpoczywaliśmy i słuchaliśmy o historii świata po II Wojnie Światowej.

15 lipca

Dzień zaczęliśmy do zajęć inżynierskich. Wykonaliśmy parę prostych obwodów elektrycznych, które potem przetestowaliśmy.

Później ugotowaliśmy i zjedliśmy obiad, a po tym przenieśliśmy się na łąkę między bunkrem a wałem. Grucha poszedł rozkładać sprzęt, a Edyta i Agnieszka jako zadanie miały „wyprostować” łąkę, znaczy ugnieść roślinność tak, by nie przeszkadzała w następnych zajęciach. Dziewczyny tak dobrze to zrobiły, że łąka wyglądała, jakby przejechał po niej mały czołg i tak zdecydowały sobie nazywać do końca obozu. (Były jednym małym czołgiem, żeby nie było wątpliwości, czyli każda z nich była jego połową).

Gdy łąka była wyprostowana, zaczęliśmy zajęcia. Polegały na strzelaniu z wiatrówki do tarcz z różnych odległości i pozycji – za każdym razem oddawaliśmy dwa strzały próbne i pięć punktowanych. Najpierw była najbardziej standardowa odległość – 10 metrów, ale podczas drugiej serii strzałów punktowanych zaczął padać deszcz. Szybko zmontowaliśmy z poncz, patyków i roweru Świdra dwa małe zadaszenia – jedno na sprzęt, a drugie do strzelania. Niestety spod poncza strzelać było bardzo ciężko, a deszcz i tak przestał już padać, więc rozmontowaliśmy to i strzelaliśmy dalej. Potem przenieśliśmy się aż 30 metrów od tarcz, ale z tego miejsca trudno było nawet trafić w samą tarczę, nie mówiąc już o jej środku, więc zmniejszyliśmy dystans do 15 metrów. Gdy wszyscy oddali już pięć strzałów punktowanych, pojawiła się innowacja – lornetka. Z lornetką pracowaliśmy w parach i działaliśmy jak snajperzy, czyli jedna osoba strzelała do tarczy, a druga, patrząc przez lornetkę, mówiła jej, w które miejsce trafiła. To znacznie ułatwiło celowanie i wszyscy mieli wyższe wyniki, kiedy strzelali z obserwatorem. Na końcu strzelaliśmy z 10 metrów, stojąc. Cały konkurs strzelania z wiatrówki wygrał, co zabawne, Świder, który ma ze wszystkich najślabszy wzrok. Najwidoczniej na ślepo strzela się lepiej...

Ostatnim blokiem zajęć było granie na gitarze i śpiewanie. W tym samym czasie można było zaliczać próby na Krzyż Harcerski i na specjalność. Gdy skończyliśmy śpiewać, pożegnaliśmy się.

16 lipca

W środę spotkaliśmy się wyjątkowo nie na Kozanowie, ale na pętli autobusowej na Sołtysowicach. Stamtąd udaliśmy się do budynku, w którym miały się odbywać zajęcia tego dnia. W budynku tym ćwiczyliśmy czarną taktykę. Zaczęliśmy od podchodzenia do budynku, a potem ćwiczyliśmy chodzenie po korytarzach. Po około półgodzinie takich zajęć do środka weszło dwóch mężczyzn. Okazało się, że oni też mieli zarezerwowane to miejsce. Nie chcieli jednak ćwiczyć czarnej taktyki, tylko kręcili film.

Usunęliśmy się z ich drogi i w tym czasie ćwiczyliśmy chodzenie po schodach. Panowie byli na tyle sympatyczni, że pozwolili nam też strzelać z wiatrówki na CO2 w kształcie UZI!

Później przyszła pora na obiad i pyszny makaron z sosem bolognese i konserwą, a na deser dżem z jabłek, które poprzedniego dnia jeszcze wisały na drzewie! Taka magia! W czasie jedzenia obiadu przyszedł Gądi, a kiedy posprzątałimy po sobie, zaczęliśmy kolejne zajęcia. Najpierw Świder pokazał nam swój projekt – Żołnierza Przyszłości. Niestety coś mu nie działało, więc nie mogliśmy go przetestować w akcji, ale sam pomysł wszystkim się podobał. Chodziło o kamerę przymocowaną do giwery i ekran przyczepiony do drugiej ręki. Znacznie ułatwiało to przemieszczanie się w budynku i wyglądanie zza rogu.

Kolejnym naszym zajęciem było strzelanie do tarcz, które Grucha zamocował w całym budynku. Musieliśmy najpierw do niego podejść, a potem przejść korytarzami i schodami całą budowlę tak, by nie zostać zabitym przez wymagowanych strzelców, którzy pojawiali się w miejscu tarcz. Nie zawsze nam się to udawało, ale i tak nie było źle. Potem oprócz nieruchomych tarcz musieliśmy też pokonać przemieszczającego się Gruchę, który w dodatku do nas strzelał, co wychodziło nam już trochę gorzej.

Niestety Gądi musiał nas opuścić, ale nie przestaliśmy ćwiczyć czarnej taktyki. Ponieważ Agnieszka i Edyta zostały postrzelone i nie bardzo miały ochotę na więcej strzelania do siebie nawzajem, zostawiliśmy magazynki w plecakach i po prostu krzyczeliśmy imiona osób, które były „zabijane”. Przeszliśmy jeszcze kilka razy przez budynek, próbując znaleźć w nim ukryty hełm będący celem naszej wyprawy, a potem robiliśmy zdjęcia i kręciliśmy filmy o czarnej taktyce i nie tylko. To było już wszystko przygotowane na ten dzień, więc pożegnaliśmy się i odeszliśmy w stronę zachodzącego słońca.

17 lipca

Ten dzień zaczęliśmy od zajęć bardzo statycznych, a mianowicie szyliśmy sobie kombinezony maskujące. Wykorzystaliśmy do tego siatki maskujące, które przyszyliśmy do polówek. Do siatek poprzywiązywaliśmy pocięte na paski kawałki materiałów maskujących. Tak samo robiliśmy czapki, ale je najpierw posprejowaliśmy, żeby nie było widać ich oryginalnych kolorów (np. czerwonego, który się raczej nie maskuje). Przerwę w szyciu przeznaczaliśmy na obiad, którym była karkówka z ryżem. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś specjalnie przeszkadzał nam w zjedzeniu czegoś dobrego – nie dość, że ciężko było usmażyć karkówki nad ogniskiem i zanim stały się jadalne, minęło dużo czasu, to jeszcze cała woda z ryżu wyparowała i ryż się nie ugotował. Na szczęście Świder uratował nasze jedzenie i obiad ostatecznie nie był taki zły.

Szycie kombinezonów maskujących to naprawdę długotrwała praca, więc ich nie skończyliśmy, ale większość była już zrobiona, kiedy przyszedł Gądi. Z nim poszliśmy w inne miejsce poligonu i zaczęliśmy kolejne zajęcia. Uczyliśmy się budować okopy – lekkie, czyli zbudowane z patyków, i ziemne, które były po prostu dziurą w ziemi. Każdy z nas musiał zbudować własne fortyfikacje i bronić się w nich, będąc atakowanym przez dwie inne osoby. Na początku nam nie wychodziło, ale było coraz lepiej i każdy zdołał obronić się przynajmniej raz. Później Gądi powiedział, że idzie wybierać wino na wesele i poszedł, a my mieliśmy dalej ćwiczyć obronę, ale teraz nie w swoich okopach. Później posprzątałimy po sobie i niestety musieliśmy zburzyć nasze okopy i zakopać doły, żeby nikt do nich nie wpadł.

Gdy już posprzątałimy, Grucha powiedział, że jest sto pięćdziesiąta rocznica urodzin pułkownika piechoty cesarskiej i królewskiej Armii, generała dywizji Wojska Polskiego Franciszka Ksawerego Latinika, który podczas bitwy warszawskiej był gubernatorem wojskowym Warszawy i dowodził 1 Armią Frontu Północnego, odpierając radzieckie uderzenie na miasto, więc z tej okazji chciał (Grucha, nie Franciszek), żebyśmy chociaż kawałek przeszli w mundurach galowych. Spakowaliśmy się i poszliśmy w kierunku wyjścia z poligonu. Zanim wyszliśmy, skręciliśmy w stronę bunkra. Zostawiliśmy

plecaki w wejściu i zauważyliśmy, że w środku pali się dość podejrzane światło. Poszliśmy w jego kierunku i okazało się, że to... Gądi! W tej bardzo nietypowej sytuacji kazał nam stanąć naprzeciw niego i odczytał nam obozowy rozkaz. To wtedy Agnieszka i Edyta dostały plakietki specjalności, złożyły Przyniesienie Harcerskie i otrzymały Krzyż Harcerski. Głośno bijące serca słychać było na drugim końcu bunkra, a uśmiechy rozświetlały swoim blaskiem niemal egipskie ciemności (świeciła się tylko świeczka, która zastępowała nam ognisko). Ponadto drugi rok służby został zaliczony Gruchowi i Świdrowi. Ale to nie wszystko! Gdy wyszliśmy z bunkra, Gądi kazał dziewczynom przykłęknąć na lewe kolano i włożył im na głowy berety! To był bardzo pamiętny dzień w ich karierach harcerskich i na pewno długo o nim nie zapomną.

18 lipca

Dziś rano spotkaliśmy się pod budynkiem PZU obok Galerii Dominikańskiej.

Świder od razu przeszedł do rzeczy i wyjaśnił nam, że jedziemy zwiedzać fortyfikacje Wrocławia. Do pierwszego schronu, będącego kiedyś bunkrem dowodzenia Festung Breslau, dotarliśmy po niecałej minucie jazdy. Stojąc pod siedzibą Chorągwi Dolnośląskiej ZHP podziwialiśmy największy ze zwiedzanych tego dnia obiektów. Betonowy pomnik desperackiej obrony Wrocławia przed Armią Czerwoną przerobiony został na klub muzyczny. Grucha i Świder stwierdzili, że muszą się tam kiedyś wybrać.

Drugim obiektem na naszej trasie była makietka bramy Oławskiej, znajdująca się nieopodal Galerii Dominikańskiej. Po krótkiej opowieści historycznej pojechaliśmy dalej. Po zobaczeniu kawałka z ocalałych murów miejskich pojechaliśmy na obiad.

Magiczne danie zwane „Szczęściem w bułce” dało nam siłę na cały długi dzień. Po obiedzie i chwili wytchnienia udaliśmy się na Swojszyce przez Sępólno. W czasie jazdy zobaczyliśmy samoloty MiG-29 i Su-22 z oznaczeniami Politechniki Wrocławskiej. Gdy dojechaliśmy do pierwszego schronu piechoty, okazało się, że jest to nieduża górka po środku ścierniska. Z mapy Świdra wynikało, że w tym miejscu nic nie powinno być, więc odnaleźliśmy obiekt, o którego istnieniu nasz przewodnik nie wiedział. Po krótkiej wycieczce do wnętrza jednokomorowego bunkra pojechaliśmy do następnego wzgórze po środku tego samego pola. Tym razem obiekt był zaznaczony na mapie Świdra. Trzy następne forty niczym się od siebie nie różniły, więc nie będę ich dokładnie opisywać, jedynie podam ich lokalizację. Forty mijaliśmy w Swojszycach, na ulicy Ludowej, obok rekultywowanego wysypiska śmieci i ostatni do którego nie zajrzeliśmy, pod Koroną. Następny bunkier był dużo większy od poprzedników. Właściwie była to cała baza małych bunkrów połączonych wybetonowanymi transzejami dla piechoty.

Do ostatniego bunkra na trasie nie weszliśmy gdyż teren jest ogrodzony i strzeżony. Właścicielem bunkra jest Wrocławskie Towarzystwo Fortyfikacyjne. Z wyglądu fort podobny jest do poprzedniego obiektu, jednak nie mieliśmy dokładnego porównania. Na koniec dnia pojechaliśmy zwiedzać jeszcze jeden schron, jednak okazało się że wchłonęła go baza wojskowa. Nie mogliśmy więc go obejrzeć.

Cała wycieczka po północnej części fortyfikacji Wrocławia była udana. Mimo narzekań na twarde siodełka i niewygodne pedały każdy uczestnik wycieczki znalazł tam coś dla siebie.

Manewry

W sobotę spotkaliśmy się przy wjeździe na poligon Sołtysowice. Jedna drużyna została komandosami, a druga – nasi przeciwnicy – żołnierzami fikcyjnego państwa – Zaarubii. Zaarubczycy byli dowodzeni przez Gądiego, a my przez Świdra.

Pierwszym zadaniem było wysadzenie elektrowni Zaarubii, co wykonaliśmy poprawnie z małymi stratami. 1:0 dla nas. Drugi rozkaz był trudniejszy do zrealizowania – mieliśmy zniszczyć część konwoju, co przypłaciliśmy wysokimi stratami. Nie rozstrzygnięto, kto zwyciężył. Trzecie zadanie to przechwycenie tuby przeciwlotniczej. Zupełnie nam nie wyszło, nasze siły zostały rozgromione. 1:1.

Kolejne zadanie – wytropienie i unicestwienie patrolu, również skopaliśmy. 1:2 dla Zaarubii. Później mieliśmy szturmować bunkier. Po wielokrotnych próbach udało się nam uratować przebywającego w nim zakładnika. Po wykonaniu zadania zapadł zmrok i wszyscy (poza dzielnym Gruchą, zdobywającym w niebezpieczeństwie wodę dla swojego oddziału) poszli spać.

Rano, o godzinie 5:00, musieliśmy dodzwonić się do nielegalnego przemytnika sproszkowanego oleju rzepakowego, umówić się z nim na spotkanie i aresztować go w umówionym miejscu. Akcja przebiegła sprawnie, dzięki niej przechwyciliśmy handlarza i tubę przeciwlotniczą. 3:2 dla nas! W ostatnim zadaniu broniliśmy się w zrujnowanej elektrowni, czekając na śmigłowiec. 4:2!

Po udanych manewrach Gądi odwiózł nas „śmigłowcem” do domów.

21 lipca

W poniedziałek zbiórka zapowiadała się nietypowo – mieliśmy się spotkać na ul. Dubios. Sprzęt – TORA oraz kredki i flamastry. Kiedy znaleźliśmy odpowiednie miejsce na zajęcia, mieliśmy omówienie manewrów, po czym prowadzący zajęcia wytłumaczył nam, co będziemy robić.

Zadaniem całej drużyny było stworzyć grę karcianą. Najpierw wybraliśmy tematykę. Poza zwycięskimi Wietnamczykami (oraz psem biegającym z kiełbasą na wędce) w propozycjach pojawiły się też takie pozycje, jak Kapitan Bomba czy kucyki Pony. Następnie opracowaliśmy zasady i wzięliśmy się za rysowanie postaci na kartach. Pomęczyliśmy się z tym niemało, ale efekt był satysfakcjonujący.

Około 16 przenieśliśmy się do budynku naszego hufca, gdzie przetestowaliśmy grę oraz obejrzelśmy film.

22 lipca

Dzisiaj ostatni dzień obozu. Zebraliśmy się na poligonie na Kozanowie. Mieliśmy zamaskować nasze ghile suite, robione na wcześniejszych zajęciach. Trwało to trochę, ale efekt był niesamowity – na łące po prostu znikaliśmy z oczu. Później ćwiczyliśmy zastawianie zasadzki w tych strojach jak najbliżej drogi na przechodzącego Gruchę. Robiliśmy to trzy razy, bo staraliśmy się dopracować do perfekcji nasz system łączności (tak, każde usprawiedliwienie jest dobre).

Później zjedliśmy obiad i odbyły się zajęcia z łączności, gdzie dowiedzieliśmy się, jak używać bardziej zaawansowanych opcji w naszych PMR-kach, jak prowadzić rozmowę radiową i poznaliśmy parę ciekawostek dotyczących kontaktów międzyludzkich.

Następnie przyszedł czas na ognisko obrzędowe. Zakończyło ono nasz obóz, który później podsumowaliśmy, po czym rozeszliśmy się do domów, czekając na pierwszą zbiórkę we wrześniu.

Pisały: Agnieszka i Edyta

Korekta: Grucha